Nr. 47 Rok 3 Kraków, dnia 22 listopada 19[illegible] 40 gr

Ilustrowany Polski



PANI KONDUKTOR

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU.

Fot. Borek



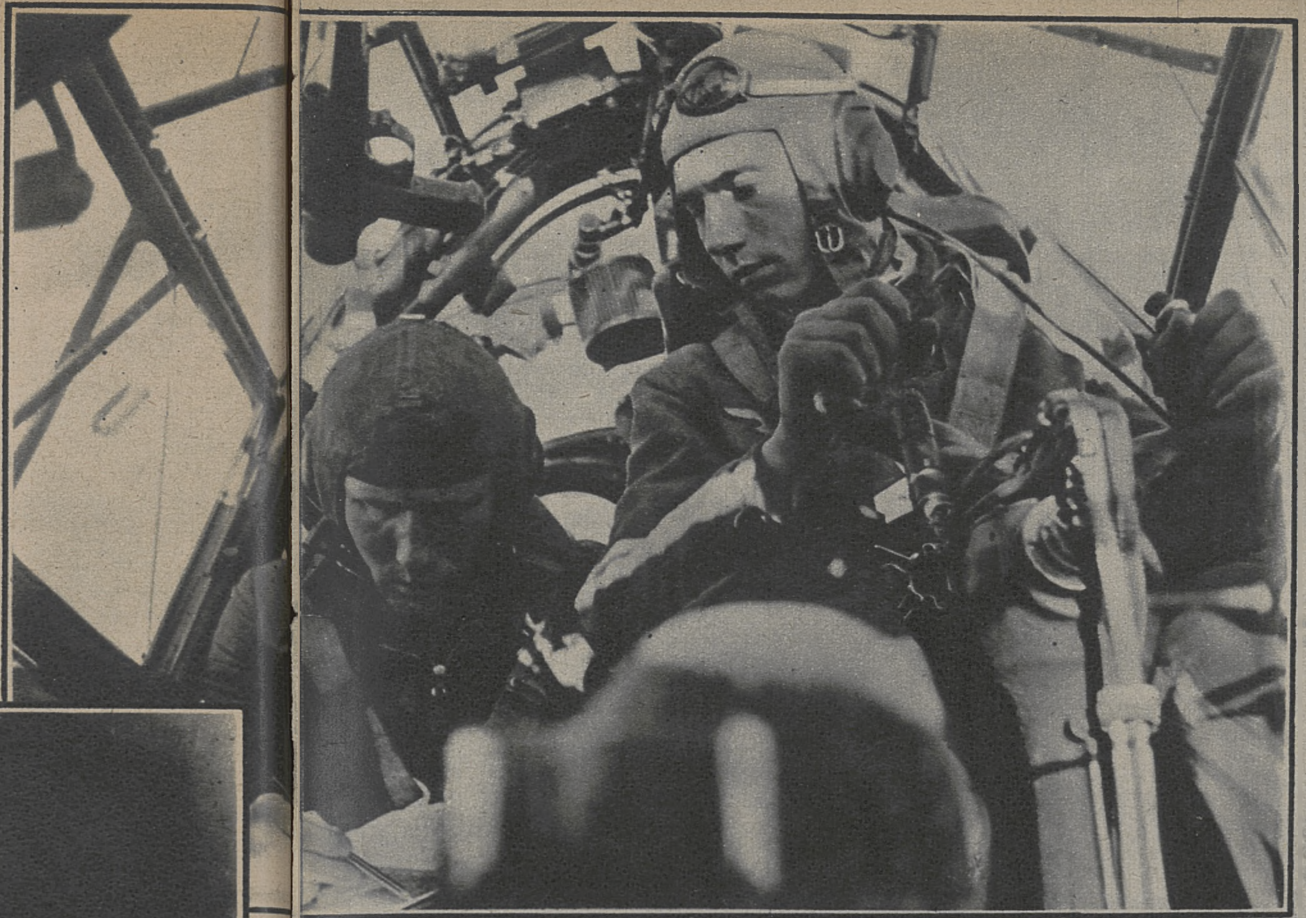
ODDZIAŁ SZTURMOWY W STALINGRADZIE

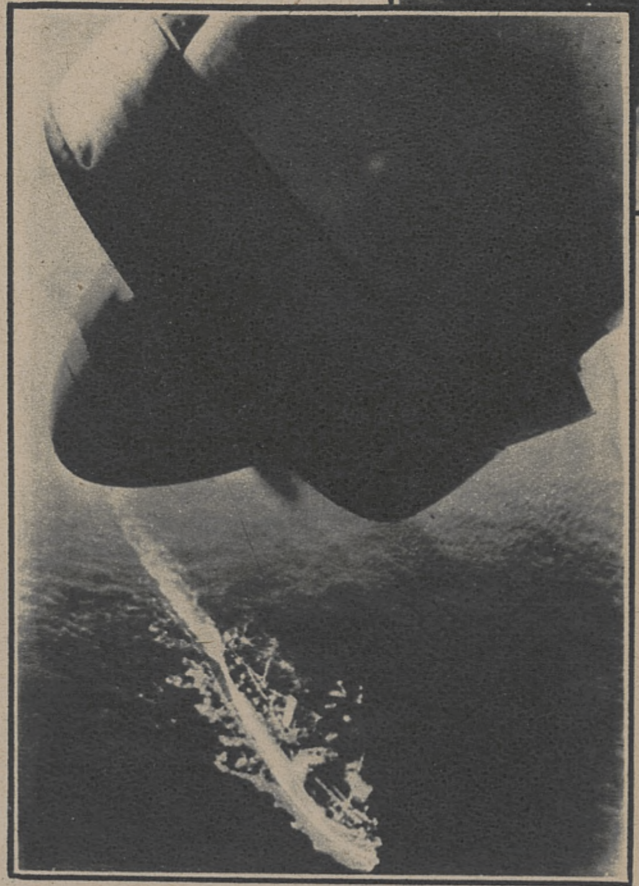
Podczas gdy ciężkie bomby samolotów „Stuka“ lecą na znajdującą się częściowo w gruzach twierdzę sowiecką, by utorować piechocie niemieckiej drogę do ataków na szańce twierdzy, niemiecki oddział szturmowy oczekuje pod osłoną muru na rozkaz do ataku.

Na prawo i u dołu:

BOMBY NA ANGIELSKO-AMERYKAŃSKĄ FLOTĘ TRANSPORTOWĄ W ZATOCE BOUGIE

Załoga niemieckiego nurkowca, która z włoskimi sztafetami brała udział w atakach dziennych i nocnych na anglo-amerykańską flotę transportową na wodach północnej Afryki, zauważyła część konwoju nieprzyjacielskiego. Obserwator wskazuje na dół i natychmiast pilot niemiecki nurkuje samolotem, — pędząc przez szalejący ogień obrony przeciwlotniczej prosto do celu, aby zatopić swymi bombami wielki transportowiec.





TYGODNIK WOJENNY

ŻELAZNE NERWY W WALKACH OBRONNYCH

Całe tygodnie broniła niemiecka piechota swych okopów na froncie wsch., które raz wraz bolszewicy bezskutecznie atakowali.





TULON BRONI SIĘ SAM

Szef francuskiej śródziemnomorskiej marynarki wojennej i nacz. dowódca obrony wybrzeży ze względu na wypadki rozgrywające się w płn. Afryce złożyli uroczystą deklarację, że będą bronili okrętów francuskich i twierdzy Tulon przed każdym atakiem anglosaskich mocarstw. Z tego powodu Führer i Duce zarządzili nieobsadzanie tej twierdzy wojskami włoskimi i niemieckimi. Nasze ilustracje dają rzut oka na miasto i port Tulon.



TRZY DROGI WOJSKOWE W KAUKAZIE



TRZY DROGI WOJSKOWE W KAUKAZIE. MAPA KAUKAZU.

Fot. Scherl 2
P.B.Z. 1
Atlantic 2
ᛋᛋ PK. Raudies 1
Archiw. 2

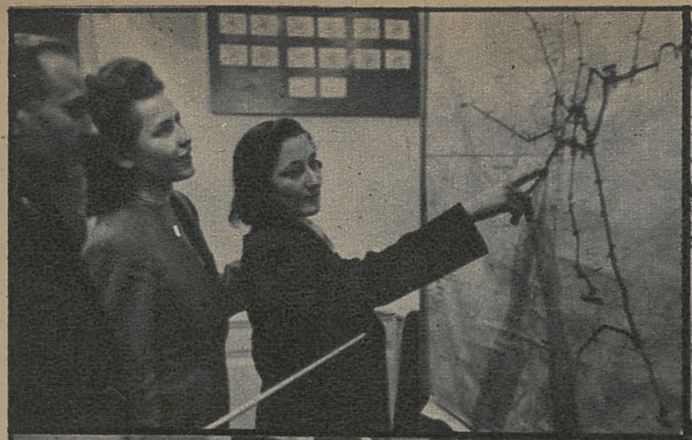
Na prawo:

WSPANIAŁY OKAZ

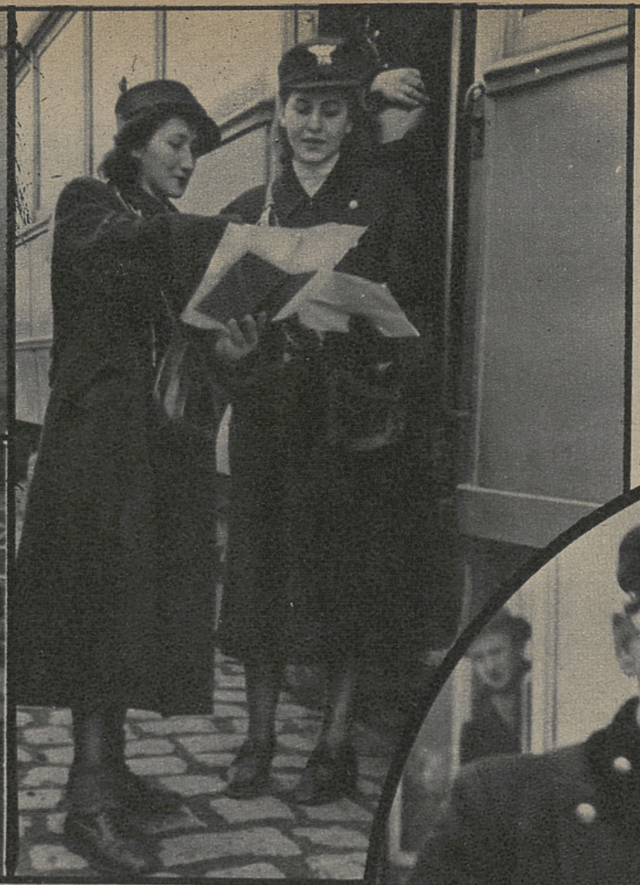
Udały połów żołnierza niemieckiego. Żołnierz ten złowił wspaniały okaz łososia i w ten sposób przyczynił się do urozmaicenia menu kuchni polowej.



„Proszę o bilet”







U góry:

Panna Lusia i Hela zapoznają się na kursie przeszkoleniowym przy pomocy specjalnej mapy z krakowską siecią tramwajową.

Powyżej:

Znajomość znaków drogowych — to ważna część programu kursu przeszkoleniowego dla przyszłych konduktorek.

Powyżej na prawo:

— Dobrze zapisuję, Luśka? W tej rubryce odjazd, a w tej przyjazd, a w tych szerokich stan biletów i kasy za cały dzień.

— Dobrze. Kontroler może przyjść.



Na prawo:

Pan kontroler sprawdza cedułę. Wszystko zostało dotąd prawidłowo zapisane.



Poniżej:

Jeszcze ostatnie spojrzenie do lustra, a potem — jazda! Pannie Lusi jest zresztą doskonale w tej czapce.

REPORTAŻ Z KRAKOWSKIEGO KURSU PRZESZKOLENIOWEGO DLA KONDUKTOREK

Rozpisywać się jeszcze dzisiaj szerzej o tym, że kobieta zastąpiła mężczyznę w tylu to a tylu i takich to a takich dziedzinach pracy byłoby rzeczą świadczącą o zupełnej nieznajomości tempa współczesnego i specyficznych warunków, które same wyciągają ją od „ogniska" domowego, dość zresztą zimnego, i stawiają jako mistrza piekarskiego przy bajcie piekarskiej lub jako czeladnika ślusarskiego przy imadle. Są to warsztaty pracy, przy których kobieta dotąd nie stawała. A jednak fakt, że zajęły one również tam miejsce, dowodzi że potrafią one wykonać i te dla nich tak obce na pozór zadania.

Kobieta wypełnia dzisiaj brak rąk męskich do pracy. Nie jest to zjawiskiem zupełnie nowym. Przecież już w czasie pierwszej wojny światowej były kobiety konduktorkami pociągów, co było zajęciem o wiele niebezpieczniejszym niż choćby dzisiaj... konduktorowanie w tramwaju. Zważyć bowiem trzeba, że pociągi z czasów tamtej wojny nie składały się z wagonów ze sobą połączonych, jak dzisiejsze, lecz w każdym z nich było kilka przedziałów, do których trzeba było wchodzić od zewnątrz w czasie jazdy. Jeżeli o tym teraz wspominamy to dlatego, żeby udowodnić, że w chwili obecnej ożyła tradycja. Konduktorki tramwajowe są jednak dla tych, którzy tamtej wojny nie pamiętają, czymś tak nowym jak wówczas konduktorki kolejowe.

Dla Warszawy i Lwowa, gdzie wozy tramwajowe obsługiwane są już od dłuższego czasu przez kobiety, nie jest panienka lub pani z torbą przewieszoną przez ramię, dzwoniąca drobnymi, które wydaje pasażerom, już żadną osobliwością, Kraków ogląda sobie jednak ten nadobny personel żeński jeszcze z wielką ciekawością, a niejeden z pasażerów szybciej niż dawniej wyjmuje 40 groszy, aby zobaczyć jak się spisuje konduktor-kobieta.

Oczywiście, że nie dorównuje ona tym koduktorom, którzy na największych zakrętach stoją tak pewnie jakby przyśrubowani byli do podłogi wozu, nie umie też jeszcze tak wprawnie używać kleszczy do przecinania biletów. Nikt się też temu nie dziwi. Wszak to dopiero początki praktyki. I to pod nadzorem wykwalifikowanego konduktora, który baczy, by pani konduktor nie wysłała pasażera do Bronowic zamiast do Borku Fałęckiego.

Bez przygotowania teoretycznego też nie mogło się obyć. W chwili obecnej przechodzi na liniach krakowskich 2½-tygodniową praktykę 30 konduktorek. Zanim wstąpiły one na deski... tramwajowe (czy nie jest to również swego rodzaju scena?) przeszły 2-tygodniową teorię, w czasie której musiały się wyuczyć na pamięć przepisów ruchu, zapoznać się z planem miasta, siecią tramwajową, tzn. zapamiętać jaki jest przebieg poszczególnych linii, gdzie są przystanki, gdzie punkty węzłowe, zaznajomić się z rodzajem biletów i kart, przepisami zachowania przy pracy, poznać mniejwięcej dokładnie wóz oraz bardzo dokładnie — rozkład jazdy tramwajowej. Jak pociąg — tak bowiem i tramwaj trzymać się musi wyznaczonego do jazdy czasu. Nauki było więc nie mało, a wprawa przyjdzie z praktyką.

Czy potrafią dorównać mężczyznom, to pokaże dopiero czas. Należy jednak sądzić, że nie pozostaną zbyt daleko za nimi, jeżdżąc bowiem tramwajem (na pewno jeździły!), miały doskonałe pole do obserwacji i z pewnością doskonale wiedzą już jak... ciągnie się za dzwonek, aby tramwaj stanął.

— sza —



Na lewo:
Młody ten człowiek patrzy z zainteresowaniem na panią konduktor. Czy patrzałby tak samo, gdyby to był pan konduktor?



Panna Hela kończy swoją toaletę przed wejściem na „turę". Jako pani konduktor może pozostać nadal czarującą kobietą.



Na lewo:
Tyle sprzedałam biletów, więc tyle muszę mieć pieniędzy — obliczają panny Lusia i Hela po skończonej służbie, a pan instruktor dopomaga przy liczeniu i zapisywaniu.

Fot. Borek



Powyżej:
Skończywszy służbę, wracają obie koleżanki pieszo do domu aby podzielić się swymi wrażeniami.



U góry:
W sali konduktorskiej przechowują konduktorzy swoje torby do pieniędzy i bilety.



Tramwaj dojechał do stacji końcowej. Trzeba zmienić tablicę wskazującą kierunek.



Poniżej:

„CHARYTATYWNY UCZYNEK

Bezinteresownie szuka jeden drugiemu wszy w głowie. Iskanie to, należy niewątpliwie, do dobrych uczynków względem swoich krewnych i znajomych.

Fot. Atlantic 5



W zachodnich Himalajach — na urodzajnej równinie Srinagaru, leży indyjskie księstwo Kaszmir. Pod względem topograficznym, jest to kotlina położona na wysokości 1800 m nad poziomem morza, 200 km długa, a 140 km szeroka i otoczona niebosiężnymi łańcuchami górskimi. Co do stosunków gospodarczych, to jest tu przede wszystkim wysoko rozwinięta uprawa ryżu i zbóż, ponad to hodują też tubylcy jarzyny i owoce, — wreszcie wspomnieć należy o bardzo rozwiniętym przemyśle tkackim, który dostarcza sławnych na cały świat szali i kobierców kaszmirskich, wyrabianych z delikatnej, jedwabistej wełny kóz tybetańskich.

Bogate skarby przyrody jak: żelazo, miedź, ołów, siarka, węgiel, grafit i złoto są tu aż po dzień dzisiejszy mało wykorzystywane.

W kotlinie tej znajduje się wilgotna nizina, przez którą płynie rzeka Wulardżelan i tu też roztacza malowniczo swe wody — wielkie jezioro Wulan.

Z powodu nadzwyczaj przyjemnego, umiarkowanego klimatu porównywany jest Kaszmir do raju, a jego stolicę Srinagar nazywają Wenecją Azji, gdyż jest ona pocięta licznymi strumieniami, nad brzegami których wznoszą się charakterystyczne budowle kaszmirskie.

Strumieniami tymi odbywa się cała komunikacja i nad ich brzegami dokonuje się większość transakcji handlowych.

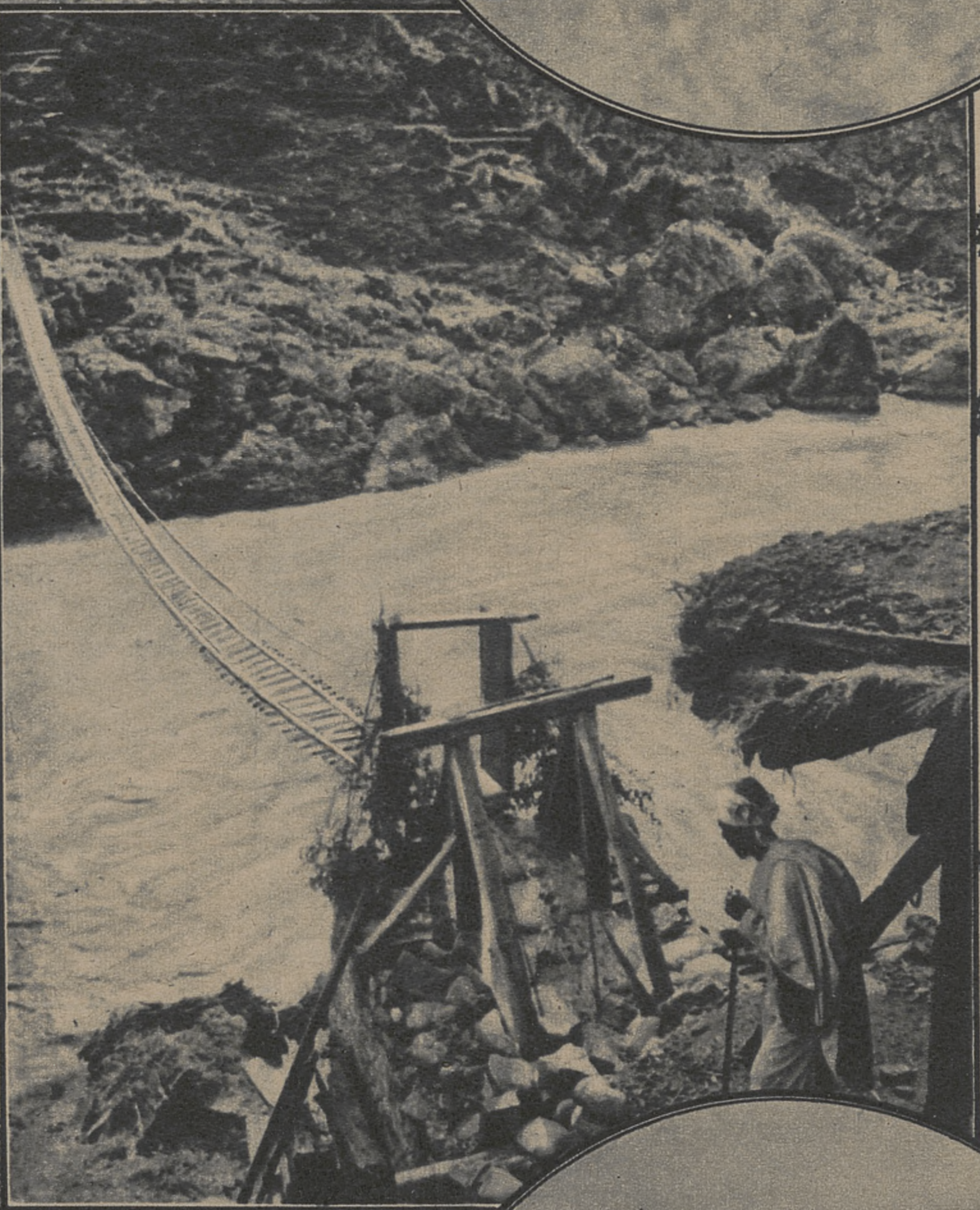
WENECJA AZJI

Charakterystyczne domki kaszmirskie w Srinagarze, zbudowane na skalistym stromym brzegu strumyka — przedstawiają malowniczy widok, przypominający Wenecję.

Na prawo:

WISZĄCY MOST

W górach Kaszmiru szumią dzikie potoki, wielkie niekiedy jak rzeki, ponad którymi zwisają chwiejące się mosty o prymitywnej konstrukcji.



Poniżej:

JEDNA Z ULIC WODNYCH W SRINAGARZE

Cały ruch uliczny i komunikacja w Srinagarze, odbywa się przy pomocy ozdobnych łodzi z baldachimem, zwanych gondolami.





NA WZORACH STAROŻYTNEJ GRECJI

W Kaszmirze można napotkać świątynie hinduskie, których architektura zdradza silny wpływ grecki.



Streszczenie poprzednich odcinków

W pensjonacie Florentyny Dęborówny znika po raz wtóry młoda dziewczyna. Sam fakt i śledztwo nadwyrężyły zdrowie i samopoczucie subtelnej Flory i zmusiły ją do wyjazdu na wypoczynek. Towarzyszyli jej Edyth Ferallano, jej przyjaciółka i Stanisław Grzebiński, jej opiekun, doradca i przyjaciel z lat dziecinnych. Pierwszy postój odbył się w Krakowie w jednej z will zamożnej Hiszpanki, a następny w Warszawie.

W tym czasie głośna była sprawa cudownego wyleczenia córki pana Balfoor. Agnes Balfoor zapadła na śpiączkę na którą nie znano lekarstwa. Jakiś nieznany „cudotwórca" przysłał dla niej anonimowo płatki nieznanego kwiatu, które przywróciły jej zdrowie.

Los zrządził, że Flora i Edyth spotkały Agnes w czasie swojego pobytu w Warszawie w teatrze.

Poczęli oboje szukać na oparciu i fotelach. Nagle Edyth przechyliła się przez ścianę, dzielącą obie loże.

— Służę pani! — rzekła uprzejmie, podając program.

Agnes podniosła głowę zdziwiona i wdzięczna.

— Dziękuję!

Edyth zatrzymała jej oczy w swych oczach ogromnych, czarnych jak noc i połyskliwych. Jakiś urzekający fluid płynął z nich w samo serce młodej Angielki. Palce drżały jej trochę, gdy wyciągała kolorowy papier z rąk Edyth. Panna Ferallano uśmiechnęła się. Agnes odwzajemniła ten uśmiech i nagle poczuła, że w sercu jej budzi się nieprzeparta sympatia do tej bronzowej „córki szeika".

Zadźwięczał gong. Zamykane drzwi lóż poczęły trzaskać. Po chwili światło zgasło.

Flora ujęła za lornetkę i poczęła cicho rozmawiać ze Stanisławem. Obydwoje patrzyli na scenę.

Edyth czas jakiś patrzyła razem z nimi. Przekonawszy się po chwili, że przedstawienie zajęło całkowicie ich uwagę, ostrożnie i cicho cofnęła się z fotelem w głąb loży i zwolna przekręciwszy głowę utopiła w twarzy Agnes swoje przepastne oczy...

A g n e s, jakkolwiek zwrócona twarzą w tamtą stronę, nie widziała tych oczu, mieniących się w mroku jak dwa zielono-żółte płomienie. Ramieniem wsparła się niedbale o pluszowe obicie, patrząc na scenę.

Lecz ulubiona zwykle opera dzisiaj nie zajmowala jej. Obojętnie oglądała wspaniałe dekoracje, przebiegła krytycznymi spojrzeniami postacie artystów, a potem delikatnie odwróciła głowę i rzuciła po teatrze kilka spojrzeń.

Lecz pogrążone w ciszy i zasłuchane loże również nie zainteresowały jej; zresztą Agnes wiedziala dobrze, do czego dąży: jakaś dziwna siła ciągnęła jej oczy i myśli w stronę sąsiedniej loży. Udało się jej wreszcie rzucić tam spojrzenie i... czar owładnął nią na nowo ze wzmożoną siłą. Profil Florentyny srebrzał delikatnie na tle ciemnego obicia. Agnes nie potrafiła już oderwać oczu od niego. Po prostu piła źrenicami czar przecudnej głowy i postaci, smukłej jak lilia i białej jak lilia.

W loży Balfoor'ów ktoś poruszył się. Spłoszona Agnes szybko zwróciła głowę ku scenie, ale na tle dekoracyj, artystów, całej widowni i lóż widniał nienaturalnie wyolbrzymiony srebrzysty profil z sąsiedniej loży. Ta uparta zjawa poczęła wreszcie męczyć jej oczy, więc zamknęła je, ale obraz wkradł się pod powieki i trwał wiernie w źrenicach. Równocześnie jednak Agnes ogarnęła nieznana dotąd radość i poczucie szczęścia. Plan błyskawicznie powstał i dojrzał w jej głowie:

— Muszę ją poznać! Zrobię to podczas dlugiej przerwy! Zaproszę ją na bankiet! Jakże zdumieni i zachwyceni będą wszyscy, gdy ją zobaczą w salonie.

Pod wpływem tych myśli Agnes ożywiła się. Właściwie nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co się z nią dzieje, — czuła tylko, że cudnie piękna nieznajoma od pierwszego wejrzenia zdobyła jej przyjaźń i sympatię. Objęła Florę ciepłym wejrzeniem i wtedy przyszło jej na myśl, że zaprosi oczywiście i jej towarzyszkę. Poszukała oczyma „córki szeika". Edyth siedziała nieco w głębi loży, ale tak blisko ściany, że Agnes widziała ją dokładnie. Zdziwienie i niepokój ogarnęły ją, gdy spojrzała w twarz nieznajomej: oczy miała zamknięte, a na twarzy jej dojrzała wyraz śmiertelnego zmęczenia.

Agnes patrzyła na nią coraz niespokojniej. Wreszcie Edyth podniosła powieki i dwie pary oczu splotły się ze sobą na długą chwilę. Panna Balfoor ujrzała miękkie jak plusz, zdziwione i łagodne oczy, bezgranicznie smutne oczy gazeli. Pod spojrzeniem ich serce zadrżało w Agnes litością, a na rzęsach zadrżały jej łzy.

— Co się ze mną dzieje? Co to znaczy? — pytała w duszy samej siebie. Sąsiednią lożę zajęły dwie młode kobiety, których nie znała i nie widziała dotąd nigdy. A oto jedna z nich odrazu zdobyła sobie uczucie, jakie ma się tylko dla najdroższych istot, druga zaś bez powodów budziła litość w jej sercu. Agnes subtelną swą intuicją wyczuła odrazu, że losy jej i tych dwóch kobiet splotą się na całe życie.

Lecz nie odczuwała w związku z tym żadnego niepokoju, ni smutku. Przeciwnie: cieszyła się, jak dziecko, że pozna te dwie kobiety, a zwłaszcza tę cudną dziewczynę o białej twarzy. Uśmiechnęła się do samej siebie na myśl, jaką minę będzie miał Janek, gdy zobaczy na bankiecie tajemniczą „córkę szeika" i tę drugą dziewczynę, która nawet w stutysięcznym tłumie kobiet musiałaby na siebie z w r ó c i ć powszechną uwagę.

VII.

Salon powoli pustoszał. Poszczególne grupki gości wymykały się bezustannie do ogrodu, zwabione pogodnym, ciepłym wieczorem. Wśród drzew, różowych jeszcze od niedawnego zachodu, połyskiwały kolorowe kobiece toalety, pomiędzy które wplatała się czerń fraków. Po alejach i ścieżkach snuły się samotne pary, prowadzące przyciszoną rozmowę. Czasami gdzieś daleko wybuchał młody, wesoły śmiech i rozpraszał się w pachnącym powietrzu. Przez zieloną gęstwinę gałęzi spływała powoli na ziemię słodka cisza nocy.

Agnes i Edyth przechadzały się małą ścieżyną pomiędzy klombami róż. Wiodąc ożywioną rozmowę zaszły na koniec ogrodu, gdzie było cicho. Do tej części ogrodu dźwięki muzyki nie dochodziły już.

Agnes w blado-turkusowej sukni, od której cudnie odbijały jej jasne włosy, była zachwycająca. Edyth, w białej sukni z ciężkiego jedwabiu, robiła wrażenie posągu. Wysoka, ciemno-bronzowa z hebanowymi włosami i przepastnie czarnymi oczyma, wyglądała jak pogańskie bóstwo.

— Panna Florentyna będzie nas szukać! — rzekła Agnes, oglądając się w stronę salonu.

— Ach, nie! Mam wrażenie, że ona się świetnie bawi!

Agnes roześmiała się szczerze.

— A jakże! odebrała mi wszystkich wielbicieli! Nie odstępują jej cały wieczór, a mnie zadręczają pytaniami, kto to, skąd itd. Przyznam się pani, że pytania te są dla mnie kłopotliwe, gdyż po prostu nie wiem, co odpowiadać na nie!

Edyth uśmiechnęła się dyskretnie.

— Zaszczyciła nas pani zaproszeniem, nie wiedząc nawet, kogo zaprasza!

Młoda Angielka podniosła swe szafirowe oczy i spojrzała w twarz towarzyszki z wyrazem głębokiej sympatii:

— Wiem to, że panna Dęborówna jest najpiękniejszą i najsłodszą z istot, jakie widziałam w swym życiu. Nie wyobrażam sobie, czy jagnię może być bardziej łagodne. W swym odnoszeniu się do całego otoczenia ma coś z ufności dziecka.

— Tak, to prawda! — rzekła Edyth. — Znałam wiele już kobiet i zapewniam panią, że Flora jest nie tylko wyjątkowo piękną, ale i bardzo wartościową kobietą. Jest to tak zwany „mocny człowiek". Ale z tego, co pani mówi wnioskuję, że Flora nie tylko dla mężczyzn jest niebezpieczną. Niech się pani pocieszy, że nie tylko pani ma do niej słabość: i ja siedzę pod pantofelkiem Flory, aż się wstydzę nieraz.

— Kim właściwie jest panna Flora?

— Flora jest córką górala spod Nowego Targu. Dęborowie i Grzebińscy, to dwa z najstarszych rodów na Podhalu! Ojciec jej był bogatym i ogólnie szanowanym, ale prostym góralem.

Agnes troszeczkę zdziwiła się:

— Córka górala!? Gdyby była córką króla nie mogłaby wyglądać inaczej! Nie ma na całym świecie salonu, który by był dość godnym tej ozdoby. — A Grzebiński, czyje to nazwisko?

— Grzebiński? Ależ to nasz towarzysz!

— Prawda! prawda! Więc i on jest góralem? Cóż to za piękny mężczyzna! W waszych górach kwitną naprawdę piękne kwiaty!

Agnes w zamyśleniu potrząsała swą jasną głową. Edyth spoglądała na nią z boku.

— Czy panie łączy jakieś pokrewieństwo? — spytała po chwili Agnes — Co prawda, nie przypuszczam tego, gdyż wnioskując z pani nazwiska, jest pani cudzoziemką!

— Jesteśmy zaprzyjaźnione serdecznie już od kilku lat. Flora nie ma na świecie nikogo prócz młodszego brata, przebywającego na własną prośbę w Paryżu, w tamtejszym konserwatorium muzycznym. Ja również jestem samotna. Z pochodzenia jestem Hiszpanką a tu przyjeżdżam przeważnie dla Flory. Bawię tu zresztą dość często, a jak przyjadę, to już wygnać mnie od Flory nie można!

— A gdzie panna Flora mieszka stale?

Przy tych słowach Agnes podniosła głowę i spojrzała w twarz Edyth. Ciemniało. Na drzewa i krzewy kładły się czarne cienie. Poprzez gałęzie padały słabe, gasnące blaski dnia prosto na twarz panny Ferallano. Blaski te odbijały się w jej oczach, które płonęły teraz, jak ognie. Ogromne, połyskujące w cieniu, miały dziwny wyraz, który uderzył Angielkę. Patrzyła w te oczy, jak urzeczona. Edyth zaś powoli przeniosła swe oczy ku oczom Agnes i zatopiła w nich głębię swego wejrzenia.

— Flora ma pensjonat w Tatrach. „Hotel Wielki".

— Ach, tak! kilka tygodni temu był tam jakiś wypadek, samobójstwo, czy coś takiego?

— Istotnie! Flora po tym wypadku jest tak przygnębiona i wyczerpana nerwowo, że przemocą prawie wywiozłam ją, by odpoczęła i wróciła do równowagi. Właściwie nie mamy żadnego planu i czas jakiś na pewno zostaniemy w Warszawie, o ile oczywiście Flora nie zechce pojechać gdzieś dalej!

— Ach, ja sama tak chętnie pojechałabym gdzieś! Już mam trochę dość Warszawy. Gdy tylko będę tak silna i zdrowa, jak poprzednio, jadę do ojczyzny, albo gdzieś w góry zgodnie z nakazem mojego wybawcy!

— Prawda! — podchwyciła żywo Edyth — w tej chwili przypominam sobie, że pani jakimś cudownym sposobem została wyleczona! Czytałam w gazetach cały przebieg pani choroby. Nadzwyczajna rzecz! Co pani sądzi o tym wszystkim?

— Już przestałam się nad tym zastanawiać, bo doszłam do wniosku, że i tak nic nie wymyślę. Ale fakt faktem, że cud wyrwał mnie śmierci. Tajemniczy mój zbawca musi być genialnym człowiekiem. Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, jakim dobrodziejstwem dla świata jest jego roślina, która wróciła mi zdrowie? Przecież dzięki niej tylko żyję w tej chwili! Kazał mi po powrocie do sił wyjechać w góry. Trzeba będzie tak zrobić, ale troszkę później... Tak chętnie pojechałabym z paniami, by bodaj czas jakiś jeszcze być z panną Florą; nie mam siostry, ale gdybym miała, nie byłaby mi milszą.

— Ja pani poradzę coś innego! — mówiła cicho i powoli Edyth. — Niech pani pojedzie do pensjonatu Flory. Będzie wilk syty, a koza cała. W Tatrach jest przepięknie, a u Flory przyjemnie nad wszelkie pochwały!

Agnes aż przystanęła:

— To jest świetny pomysł! Rzeczywiście, postaram się pojechać tam, o ile mi nic specjalnego nie stanie na przeszkodzie.

Agnes i Edyth równocześnie podniosły ku sobie twarze. Edyth była dziwnie blada. Oczy jej, tak zwykle słodkie i łagodne, były teraz na wskroś przeszywające, nakazujące i mocne. Płynął z nich w zdumione i zaskoczone oczy Agnes jakiś przemożny rozkaz, któremu nie potrafiłaby oprzeć się żadna istota.

— Nic pani nie stanie na przeszkodzie! — rzekła dziwnym głosem Edyth. — Pojedzie pani do pensjonatu Flory!

I nagle roześmiała się. Był to śmiech dźwięczny i pieszczotliwy, pełen prośby. Agnes roześmiała się również. Wiedziała już, że pojedzie do Hotelu Wielkiego na pewno, choćby ją nie wiadomo kto usiłował zatrzymać. Była uszczęśliwiona.

Za krzewami w następnej ścieżce mignął cień, wysoki i czarny. Jakiś mężczyzna zwolna odchodził w stronę willi.

Edyth szybko obejrzała się, usiłując w ciemności rozpoznać człowieka, który doszedł aż do ich samotni. Gdyby na świecie było jaśniej, Agnes zauważyłaby to, co uderzyło ją u Edyth już w teatrze, a mianowicie, że twarz jej była zmęczona i blada, a oczy zgaszone i pełne smutku.

— Wróćmy! — rzekła Edyth.

Poczęły iść ku tarasowi. Agnes podniosła oczy ku niebu, na którym w oddali połyskiwała różowo pierwsza gwiazda — i zdawało się jej, że na całym bezmiernym horyzoncie rozpięte są ogromne oczy, kuszące i słodkie, a równocześnie nakazujące. Jak przed kilku dniami w operze prześladował ją wyolbrzymiony obraz Florentyny, tak teraz te oczy, wiszące nad światem, nie chciały zniknąć z przed jej źrenic. Odwracała spojrzenie na ogród, na widniejące w oddali światła salonu i zewsząd spoglądały ku niej te uparte oczy. Lecz równocześnie Agnes miała dziwne uczucie, że to wszystko jest tajemnicą, której nie należy powierzać nikomu. A ile razy spojrzała na Edyth, tylekroć czuła, że nie pojedzie w góry nigdzie, jak tylko do Flory. W oczach stanęła jej, jak żywa, biała twarz, uśmiechnięte usta i granatowe oczy, w których widziała tyle dla siebie sympatii. Zatęskniła nagle za Florentyną i, przyspieszywszy kroku, pociągnęła Edyth za sobą.

— Czy chce pani zrobić Florentynie prawdziwą przyjemność? — zagadnęła nagle Edyth, tuż przed tarasem.

Agnes zatrzymała się, spoglądając na nią pytająco.

— ...a o co chodzi?

— Niech jej pani nic nie wspomina o swym zamiarze przepędzenia u niej lata i jesieni! Będzie to dla niej prawdziwie radosna niespodzianka! Wiem to!

— Naturalnie, że nic jej nie powiem! — zgodziła się Agnes bez oporu. W głębi salonu dojrzała różową toaletę Flory. Pozostawiła Edyth w tyle i wpadła do salonu roześmiana.

Edyth została na tarasie. Zobaczywszy puste krzesło usiadła na nim i połyskując białą suknią na tle ciemnego muru, patrzyła w zamyśleniu w głąb ogrodu.

Szaruga

Deszcz puka w okno zimną, przeźroczystą dłonią,
Wiatr zawodzi w konarach długim, skargi jękiem,
Drobne krople po szybach monotonnie dzwonią,
Smutek swój spowiadają szklanym, pustym dźwiękiem.
A za szybą mgła szara wisi ponad światem,
W deszczu, smagani wiatrem drżą ludzie i drzewa,
A odrętwiałe mięśnie wiatr siecze jak batem,
Oczy rozwarte lękiem szaruga zalewa.

Jakże jestem samotna! Nie mam wyznać komu
Rozpaczy swojej wielkiej na ziemi, ni niebie!
Dziś nocą w tą szarugę wyjdę z tego domu
I pójdę tak bez drogi, bez celu, przed siebie...
Już nie znać myśli swoich, ni swego imienia,
Spocząć gdzieś tam, daleko nie na swoim grobie
I spać głucho bez wspomnień i bez przebudzenia.
I nie wiedzieć nic więcej, nic więcej o sobie...

Maria Cicha

— Edyth! — rozległ się nagle głos Florentyny — Gdzie jesteś?

Na taras wpadła Agnes w towarzystwie Flory i Stanisława.

— Gdzież mi się pani podziała?

Edyth wstała.

— Czy nie widzicie, jaka piękna noc?!

— Jeszcze piękniejsze noce są w Tatrach! — rzekł Grzebiński.

Edyth wzdrygnęła się i poczęła patrzeć na niego niespokojnie. Nie odzyskała już potem humoru: była zamyślona, poważna i zamknięta w sobie. Florentynie oświadczyła na jej troskliwe pytanie, że jest trochę zmęczona.

W kilka dni później Flora otrzymała z Paryża list od brata.

Tomasz zawiadamiał ją, że za tydzień odbędzie się pożegnalny koncert słynnej śpiewaczki Marii de Contades, której od kilku lat już był akompaniatorem. Prosił siostrę, by koniecznie przyjechała.

Flora natychmiast powiedziała o tym Edyth. Postanowiły pojechać, tym bardziej, że Dęborówna i tak zamierzała, w przejeździe do Hiszpanii — dokąd zaprosiła ją panna Ferallano — zatrzymać się czas jakiś w Paryżu, by widzieć się z bratem.

Agnes była nieco zasmucona ich wyjazdem. Nie mogła jechać z nimi, gdyż w Warszawie był właśnie jej narzeczony, i miał zabawić jeszcze tylko kilka dni.

Więc, by choć w części wynagrodzić sobie stratę, ulokowała Henryka razem z Edyth w limuzynie Flory, którą prowadził Stanisław, a Florę zabrała do swego sportowego „wózeczka" i odwiozła ją do samej granicy.

VIII.

Olbrzymia sala koncertowa wypełniona była do ostatniego miejsca. Publiczność, która nie zdołała już nabyć wykupionych wcześnie biletów, tłoczyła się w korytarzach i oblęgała gmach.

Wieczoru tego miał się odbyć ostatni pożegnalny występ Marii de Contades. Blisko pięćdziesięcioletnia kobieta, chluba śpiewacza Francji, po trzydziestu latach pracy i triumfu porzucała na zawsze estradę i scenę, by resztę życia spędzić w ciszy domowego ogniska przy mężu i jedynej córce Jeanne.

Francja przyjęła tę wiadomość z prawdziwym żalem. Kto tylko był w możności przybył na koncert, by po raz ostatni usłyszeć tę, która przez trzydzieści lat upajała swą śliczną postacią i cudownym głosem.

Zebrani na sali koncertowej o tym tylko mówili. Starsi ludzie, pamiętający doskonale pierwszy występ słynnej śpiewaczki, wspominali teraz ten jej pierwszy występ, rozwój jej kariery artystycznej i całe dzieje jej prywatnego życia.

Dzieje te przedstawiały się następująco:

Trzydzieści lat temu w tej samej sali odbył się debiut młodziuchnej, bo zaledwie siedemnastoletniej Marii Larosse.

Nauczyciele i protektorzy wróżyli jej świetną przyszłość, gdyż obdarzona była istotnie cudownym głosem. Ale nie tylko na tym opierali swoje nadzieje: doświadczeni ludzie wiedzieli, że w takich wypadkach rozstrzyga przeważnie szczęście. Maria poza talentem i głosem posiadała jeszcze urodę: liczyli się więc z tym, że ta uroda właśnie w pierwszym zetknięciu z publicznością będzie wielkim atutem.

Nie zawiedli się. Gdy stanęła na estradzie, owinięta przeźroczystą mgłą różowych tiulów, gdy z pośród bujnych, jasnych włosów spojrzały w tłum wielkie, piwne oczy — Francuzi oniemieli. Maria Larosse, wiedziona nieomylnym instynktem artystów, dobrze zrozumiała tę ciszę. Wyczuła w niej zachwyt i sympatię. Uśmiechnęła się. Zza maleńkich czerwonych ust błysnął rząd białych ząbków. Było w tym uśmiechu, w jej jasnych włosach i całej postaci coś tak migotliwego i promiennego, że wszystkim równocześnie narzuciło się porównanie z gwiazdą. Zerwała się burza oklasków, którą uciszył dopiero delikatny dźwięk akompaniamentu. W chwilę później rozbrzmiał na sali cudny głos kobiecy, młody i silny, a świeży, jak poranna rosa.

Efekt był taki, że w tydzień później Maria Larosse wystąpiła w Operze Wielkiej. Paryż oszalał. Stała się od razu ulubienicą publiczności. Zasypywano ją kwiatami, a co wieczoru, po przedstawieniu czy koncercie, oczekiwał na nią rząd powozów. Szczęśliwą dziewczynę otoczył rój pochlebców, przyjaciół i wielbicieli. Ci ostatni zwłaszcza toczyli pomiędzy sobą zacięty bój, usiłując nawzajem prześcignąć się w usługach i dowodach miłości. Wreszcie ponad tłum adoratorów wybiły się nazwiska dwóch ludzi i odtąd były już na wszystkich ustach.

Jednym z nich był Ludwik hrabia de Contades, właściciel pięknych i wielkich majątków rodzinnych. Był on ozdobą złotej paryskiej młodzieży i bożyszczem kobiet, które walczyły między sobą o jego względy, gdy tymczasem on nie zwracał na nie żadnej uwagi, udzielając się jedynie najbliższym przyjaciołom. Mając lat zaledwie 24 był nad swój wiek poważny i zrównoważony.

Na widok Marii Larosse po raz pierwszy w życiu zabiło w nim młode serce, budząc miłość, jedną z tych, które albo uszczęśliwiają człowieka na zawsze, albo łamią mu życie.

Drugim z tych dwóch ludzi był dr Benedykt Cuma.

Z nazwiskiem tym liczyli się wszyscy: nie tylko Francja, ale cała ówczesna Europa. Ludwik de Contades był człowiekiem nieprzeciętnym i nie wielu miał równych sobie. Natomiast dr Cuma był człowiekiem pod każdym względem niezwykłym. Posiadał genialną umysłowość i olbrzymią wiedzę. Z zawodu przyrodnik wyspecjalizował się w botanice. Studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a później przez kilka lat błądził po Europie, pracując kolejno we wszystkich niemal instytucjach przyrodniczych. Zaliczano go do najznakomitszych uczonych ówczesnej doby. Mimo, młodego wieku, liczył bowiem niespełna trzydzieści cztery lata, uniwersytety krakowski i paryski kilkakrotnie proponowały mu objęcie katedry nauk przyrodniczych, lecz dr Cuma nie chciał przyjąć stanowiska. Był on znakomitym teoretykiem, ale praktykiem wprost nieporównanym i w dodatku zamiłowanym, — fanatykiem przyrody i pracy w bezpośrednim zetknięciu z nią. Jego „eksperymenty" botaniczne, jak je nazywano, były sławne i wprawiały w zdumienie ludzi najgłębszej wiedzy.

W odległości kilkunastu kilometrów od Paryża założył olbrzymią cieplarnię i hodowlę kwiatów, przy której mieszkał stale. W pracowni tej stwarzał, jemu tylko znanym sposobem krzyżowania gatunków, wspaniałe rośliny, które wędrowały potem przeważnie na dwory cesarskie, lub do magnackich pałaców za cenę niejednokrotnie opiewającą w tysiącach.

Urodził się i wychował w Krakowie, o którym nie wiele wiedzieli przeciętni Francuzi. Nie wiedziano o nim nic ponadto — ani o jego rodzicach. Nikt nie miał odwagi wypytywać go, gdyż był to człowiek cyniczny, niedostępny, zamknięty w sobie i posępny, usposobiony wrogo do ludzi i świata.

Usposobienie to miało swoją głęboką podstawę. Los nie we wszystkim uszczęśliwia swych faworytów: oto dał Benedyktowi genialny umysł, sławę, niewyczerpaną energię życiową i żelazne zdrowie przy nadludzkiej sile fizycznej, ale za to pozbawił go wartości, decydującej niejednokrotnie o całym życiu człowieka: urody.

Cuma był tak odrażająco, tak potwornie brzydki, tak nieprzyjemny zewnętrznie, że kto po raz pierwszy zetknął się z nim i spojrzał mu w twarz, cofał się przerażony, jak na widok śmierci i przez wiele dni nie mógł otrząsnąć się ze strasznego wrażenia.

Był wzrostu tak wysokiego, że najwyżsi ludzie nie sięgali mu do ramienia. Muskularne mięśnie znamionowały nadzwyczajną siłę, ale postać jego była niezgrabna, chuda, pochylona w plecach. W niekształtnej, szpetnej twarzy uderzały przede wszystkim oczy: anormalnie wielkie, szeroko otwarte, koloru jasnego seledynu, miały wejrzenie tak przejmujące, że wejrzenia tego nikt nigdy nie wytrzymał bez drżenia. Była w nim nieokreślona jakaś moc, płynąca z samych głębin posępnej duszy tego człowieka.

Ciąg dalszy nastąpi

ZE SCEN WARSZAWY

Efektowna scena finałowa z rewii — „Kobieta, wino, śpiew" — w warszawskiej „Komecie".

Fot. J. Strzemieczna



MASKA: „W MASCE WESOŁO"

Każda premiera w „Masce" — to artystyczne wydarzenie w życiu Warszawy. Nazwisko kierownika literackiego i reżysera W. Zdzitowieckiego daje gwarancję, że program stać musi na wysokim poziomie.

Najnowsza rewia „Maski" stoi pod znakiem dobrego humoru, posiada pierwszorzędnych wykonawców, ładną oprawę dekoracyjną i gawędziarską konferansjerkę Zdzitowieckiego, który szuka w finale „nowych talentów" dla swego teatrzyku. Chętnych znajduje się mnóstwo, ale z pośród... zespołu artystycznego. Oglądamy więc w doskonałej parodii szereg domorosłych tancerzy, śpiewaków, recytatorów itp. Drugą satyrą na artystów oraz recenzistów jest „Wróbli koncert" pióra J. Poraskiej, który daje blond — wróbelka Ninka Czerska.

Najlepszym skeczem w programie jest ciekawie napisana przez St. Strusia „Miłość", gdzie Chmielewski doskonale gra rolę znanego lekarza obok Czerskiej, Zakrzewskiego i Borkowskiego. Skecz wodewilowy „Burza w szklance wody" pióra Chrzanowskiego, daje pole do popisu N. Wilińskiej jako panience z czasów naszych dziadków i Śliwińskiemu w roli narzeczonego proszącego na klęczkach o jej rękę.

Dawno nie widzianą na scenie utalentowaną Fredę Kleszczównę oglądamy dwa razy: we „Flircie na ulicy" — tańcu charakterystycznym z epoki „fin de siécle'u" oraz w pomysłowej scence półfinałowej „Rapsodia węgierska" do muzyki Liszta i ze śpiewem Hanki Brzezińskiej.

Roman Karowski i Witold Borkowski — to urodzeni piosenkarze. Tadeusz Zakrzewski — aksamitny baryton, którym śpiewa „Serenadę", Hanka Brzezińska „Turandot" do słów i muz. Bronicza.

Z dziecięcych pytań: „dlaczego? dlaczego?" Pękalski napisał arcywesoły skecz pt. „Dlaczego?" wykonany przez Czerską, Zdzitowieckiego i Chmielewskiego i nieznane „cudowne dziecko". W ciekawym, na tle pięknych dekoracji wykonanym tańcu „Wzlot Ikara" oglądamy Tadeusza Wolińskiego, Eugeniusza Paplińskiego — zaś w nastrojowym „Popołudniu jesiennym" do muzyki Szopena — tych samych oraz Mitę Kołpikównę i Witolda Borkowskiego.

Rewia ciekawa i naprawdę wesoła. Gra orkiestra J. Silicha.

KOMETA: „KOBIETA, WINO, ŚPIEW"

W najnowszej rewii „Komety" króluje piosenka i balet. Na skecze dyr. Horski nie położył specjalnego nacisku wychodząc z założenia, że śpiew i taniec bardziej przemawiają do publiczności niż słowo mówione.

Balet Żadejki czaruje na wstępie „Walcem", duet Lewandowskich tańczy „Banany i Kaktusy" oraz „Pod palmami". Wszechstronnie utalentowana N. Polakówna śpiewa wspólnie z publicznością melodyjną piosenkę „Panna Mania", Dowbor-Laskowska gra na harmonii i śpiewa z Krukowskim, Golfertem i Garbackim. Aktualną melorecytację o „Zakochanym rikszarzu" wykonuje A. Jaksztas. Tadeusz Pilarski zbiera huczne oklaski za humorystyczne „Nieporozumienie towarzyskie", a Kryniczanka i Jezierska za miłe piosenki.

Kierownictwo art. i reż. Horskiego, ładne dekoracje Galewskiego.

Z. Bakuła

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

KURZA EPOPEJA

HUMORESKA

NAPISAŁ R. CHRZĄSTOWSKI

Kiedyś grzebałem butem w ziemi.

Tak sobie, bez najmniejszego powodu. Bo, ani mnie ząb nie bolał, ani obiad nie był przesolony, ani mnie pięta nie swędziała, naprawdę, nie miałem najmniejszego powodu ku temu. Nie mniej, fakt ten miał pośrednio swoje skutki.

Pomyślałem sobie, tyle robaków żyje tuż pod powierzchnią, może by tak kupić kurę, ta, wiadomo, umie świetnie grzebać, wprost zawodowo, — będą jajka... Tu przestałem grzebać nogą, a zatarłem ręce.

Pomyślane, zrobione.

T. zn. ja myślałem, a żona postarała się o kurę. Musi być przecież jakaś harmonia w rozkładzie zajęć. Więc, przede wszystkim oglądnęliśmy kurę z wszystkich stron; wyglądała właściwie mniej więcej tak — jak to sobie na ogół wyobrażałem i ostatecznie nazwaliśmy ją Kleopatrą. Jeżeli nos Kleopatry zmieniał granice państw, niech przynajmniej nos, — pardon, — dziób naszej kury, powiększy granice naszego obiadu.

A przy tym co za kolory.

Gdyby wziąć trochę słońca, szczyptę księżyca, dorzucić kilka skrawków nieba, a potem pokropić gwiazdkami, jakie dostaje się, gdy cegła spadnie na głowę; to byłby obraz Kleopatry, oczywiście z profilu.

Zaraz z początku, wyłoniła się kwestia, czy nie trzeba będzie dokupić koguta dla niej, jeżeli ma znosić jajka. Zaglądnąłem do encyklopedii, ale, na szczęście, nie. Trochę mnie to, prawdę powiedziawszy, zdziwiło, ale, wziąwszy pod uwagę dzisiejsze czasy, wprost świetnie się składa.

Na drugi dzień rano, gdy pokój tonął w słońcu, że wydawało się, iż utonie; usłyszałem na tarasie dźwięki, jak gdyby grzechotnik bulgotał, lub jakieś bulgocące stworzenie grzechotało, i po chwili weszła przez otwarte drzwi Kleopatra: rozejrzała się wokoło i hop!... wskoczyła na moje łóżko.

— Ladies first — pomyślałem i posunąłem się na bok, podczas gdy ona wlazła w róg, za poduszkę, usiadła i zamknęła oczy.

— Oho, pewnie chce jajko znieść — powiedziała żona, drapiąc się po głowie.

— Wybacz, moja droga, ale przyroda na pewno wynalazła do tego celu inne miejsca — odrzekłem, — poprawiając sobie z godnością pyżamę, chwyciłem Kleopatrę, pogłaskałem po głowie i spuściłem na ziemię. Ledwo otwarłem książkę, a tu znowu rozlega się u moich nóg bulgotanie z grzechotaniem.

Widzę, że nie ma innej rady, i trzeba będzie zaglądnąć do encyklopedii. Szukam pod gniazdo. Jest gniazdko elektryczne... gniazdo pelikana... gniazdo rozpusty... Nie! To nie dla naszej Kleopatry.

Ostatecznie zmierzyłem ją centymetrem wszerz i wzdłuż, zrobiłem w komórce przytulne gniazdko w kształcie elipsy i posadziłem ją nań. Ale później... to nic innego nie robiłem, tylko ciągle latałem i sadzałem Kleopatrę na gnieździe, a ona nic innego, jak grzechotała, bulgotała i zeskakiwała zeń.

— Właściwie — powiedziałem — niech znosi, gdzie jej instynkt każe, gdyby kura kierowała się rozumem, wystarczyłoby jej podstawić kubek i sprawa byłaby załatwiona.

Instynkt jej jednak okazał się tak skomplikowany, żeśmy tego jajka przez dwa tygodnie nie mogli znaleźć, aż wyjmując zza drzwi drut, przygniotłem je kolanem.

Od tego zaczęły się z nią niespodzianki.

Kiedyś pytam się żony.

— Co to za różowa pszenica, która była w pudełku z napisem „suszone borówki?"

— Nie wiesz?... To przecież trutka na myszy.

— No, to myszy spożyją już ją chyba razem z Kleopatrą. Przed chwilą dałem jej wszystko, a ona zjadła, ze zwykłą sobie — dokładnością.

Podczas gdy żona dostała drgawek, poleciałem ratować, co się da. Ale złapać Kleopatrę w biały dzień bez dubeltówki okazało się już nie sennym, ale wprost śpiącym marzeniem. Ani ją zwabić, bo już najedzona, ani schwytać, bo właśnie nie głodna i hoża. Gdy wreszcie zadyszany usiadłem na leżaku, pomyślałem z satysfakcją, że i tak niezadługo, jak to się mówi, wyciągnie kopyta. I tak też by uczyniło każde rozsądne stworzenie, ale nie Kleopatra.

Nie dość, że przeżyła ten wypadek, ale jeszcze zniosła jedno jajko dodatkowo w tym tygodniu.

— No — myślę sobie — jeżeli struś potrafi połknąć nakręcony budzik z dzwonkiem i nadal dobrze chodzić, to i nasza Kleopatra... — tu spojrzałem na zegarek leżący na stoliku, i skwapliwie schowałem go do kieszeni.

Potem okazało się, że i z tym grzebaniem niezupełnie tak wyglądało, jak sobie to wyobrażałem.

Owszem, grzebać to grzebała, ale... w obcym ogródku. A tego, jak powszechnie wiadomo, nikt nie lubi, ani kocha, a już w wypadku z Kleopatrą...

Jak przyszło mi zapłacić odszkodowanie, to już nie świeczki, ale gromnice w oczach stanęły.

Wobec tego powiedziałem do żony:

— Trucizna jej się nie chwyta, ja jej chwycić też nie potrafię, kiedy potrzeba, należy ją więc, nolens volens, zarżnąć. Wiesz, taki jestem nerwowy, mógłbym sobie przy tej okazji odciąć kolano, więc weź nożyczki i skończ z nią.

— ?!? Nasze cudo? Nigdy!... Zresztą ja bym nawet kęska nie mogła przełknąć, na myśl, że to ona.

Hm! To by się nawet pysznie skadało, pomyślałem nawiasem, tylko jak ją zgładzić... Mimo, że historia ponoć powtarza się, trudno przypuścić, żeby ona i tym razem sama chciała ze sobą skończyć i popełniła samobójstwo.

Rzuciłem w nią nawet kiedyś siekierą i ledwo żona odskoczyła, gdyż o czarny włos nie trafiłem jej, a to, bądź co bądź, nie było na razie moim zamiarem. Ponieważ w przyrodzie są jednak zwrotne reakcje, może należało naopak zabrać się do tego problemu, a wtedy bym trafił w Kleopatrę.

A sprawa była pilna ze względu na cztery strony świata. Na razie zapłaciłem odszkodowanie od południa i świadomość, że na tym geografia się nie kończy, wywoływała u mnie dreszcze z łaskotkami.

W tym koniec przyszedł nagle i niespodziewanie. Dosłownie jak z jasnego nieba.

Gdy słońce coraz bardziej zwycięsko kończyło walkę z mgłą, zobaczyłem srebrnoszarą smugę w powietrzu, po czym coś zabulgotało.

— Józefie! — krzyknęła żona.

— Co?

— Nie mówię do ciebie, tylko wołam świętego na pomoc. Jastrząb porwał Kleopatrę.

— Chwała Bogu. Jeżeli masz kawałek pasztetu, to dorzuć mu w nagrodę. Zresztą nie wierzę w porwanie, a jeśli tak, to raczej Kleopatra by jastrzębia porwała. Chciałbym poza tym widzieć, jak wygląda porwanie Kleopatry w biały dzień...

Okazało się, że moje przemówienie ma charakter monologu, gdyż zobaczyłem, jak z daleka żona schyla się nad czymś. Wreszcie podniosła z ziemi bezwładne zwłoki i pokiwała nimi w powietrzu, jakby to była chusteczka. Zdaje się, na pożegnanie jastrzębiowi. Ten wprawdzie nauczył się podczas wojny lotu nurkowego, ugodził śmiertelnie ofiarę, ale zapomniał, że do przenoszenia dużych ciężarów używa się czteromotorowych maszyn.

No, i co jeszcze?

Oczywiście zjadło się „cudo" i to we dwoje, mimo że regularnie, od czasu do czasu, mówiłem — Kleopatra... i smutnie kiwałem głową. Okazuje się, że właściwie kobiety nie są konsekwentne.

A teraz myślę sobie: kura zjadała robaki, myśmy zjedli kurę, nas zjedzą...

Eh! Smutno mi.

TAJEMNICA STAREGO PIOTRA

NAPISAŁ — R. ST. PELC

Na uboczu, za wioską, wśród dzikich krzewów, otoczona parkanem, a strzechą słomianą kryta, stała chata starego Piotra.

Co to był za człowiek i skąd przyszedł, tego obecni mieszkańcy wsi nie wiedzieli. Pamiętali wszyscy, że od lat mieszkał w tej chacie, że krewnych ni bliskich we wsi, ani w okolicy nie miał, że chował dziewczę urocze, które nigdy za próg chaty nie wychodziło, a więcej nikt o Piotrze nie wiedział.

Żył z pracy rąk i chociaż włos zbielał mu na głowie, był czerstwym i silnym. Rozum posiadał niepospolity i dlatego wielu udawało się doń, by zasięgnąć rady w drażliwych sprawach. Zżyli się z nim ludzie i kto tylko potrzebował starego Piotra, szedł i stukał w deski parkanu, a on w tej chwili zjawiał się usłużny i chętny.

Olbrzymi pies krążył wokół chaty i jak długie mijały lata, nikt ze wsi nie był wewnątrz Piotrowej chaty. Dlatego też ciekawość rosła z dnia na dzień i chociaż trafiali się śmiałkowie, żadnemu jakoś nie udało się zbadać tajemnicy domu. Jednych odstraszał pies olbrzym, co bielą kłów groźnych, świecił w noc ciemną, drugich noc sama, która w tym dzikim ustroniu zdawała się zdradliwą i niesamowitą. Tym zaś, u których Piotr bywał, smutne, wiecznie załzawione oczy starca, nie dozwalały na wkradanie się w jego tajemnice.

Mijał czas i ciekawość gryzła mieszkańców, a dokuczyła im jeszcze więcej po opowiadaniu Stacha Wregi, który wrócił z nocnej wyprawy w potarganym na strzępy ubraniu, z silnymi guzami na twarzy.

A opowiadał Stach, co mu ślina na język przyniosła. Cóż mu szkodziło?... Źle o Piotrze nie mówił, a ludziska chcieli wiedzieć bardzo dużo. Niech wiedzą! Niech podziwiają go za to, że odkrył tajemnicę, której przez lata całe nie wiedzieli.

I mówił:

— Nie ma innej tajemnicy, jeno ta, że Piotr ukrywa przed oczami ludzkimi dziewczę śliczne — tak śliczne, że niepodobna tego słowami wyrazić. Nie chce pewnie, by chłopczyska zakłócali mu spokój wieczorem, a może dlatego, że boi się, by nie wyszła zamąż za którego z nas, gdyż na pewno zmarniałaby w uścisku twardych chłopskich rąk, gdy sama jest jak kwiat białej róży.

— Musi być mądra, gdyż o tym świadczą stosy najrozmaitszych książek, które leżą na ławach i stole. Jest tak widocznie zajęta nimi, że nie ma czasu nawet, przygotować sobie i Piotrowi wieczerzy i on sam z uśmiechem na ustach podawał do stołu. Ten jeden raz w życiu widziałem, że i Piotr śmieje się jak ludzie. Musi ją kochać ogromnie.

— A ona? — zapytał ktoś.

— Ona jego tak samo. Widziałem, gdy całowała jego ręce czarne, przy których twarz jej, ta biel śniegu, zabarwiła się jakby sokiem wiśni.

— Co więcej? — zapytał znowu jakiś ciekawy.

— Pies musi być niesamowitym stworzeniem, bo rzuconą kiełbasę zjadł w najlepszej komitywie ze mną, a później potargał wszystko na mnie i nie wiem, co byłoby się stało ze mną, gdyby w tej chwili nie wyszedł Piotr.

W tym miejscu oczy wszystkich zabłysły największą dozą ciekawości.

— I co?

— A nic. Piotr odegnał psa. Mnie oglądnął ze wszystkich stron i widząc, że nie mogę o własnych siłach powrócić do domu, chwycił mnie pod ramię i dopomógł mi do powrotu z tej wyprawy.

— Nic nie mówił w czasie drogi?

— To jedno, że ciekawość nie na miejscu, sprowadza dużo nieszczęść u ludzi.

I teraz opowiadanie Stacha zamiast uspokoić ludzką ciekawość, pobudziło ją jeszcze. Przyszła jednak pora prac rolnych i ludzie umęczeni zaprzestali zajmować się Piotrową tajemnicą. Jeden Stach nie zapomniał o ślicznym zjawisku i Jaśkowi Czernemu, który całymi dniami pracował na swej ojcowiźnie w pobliżu chaty Piotra nie mogło zejść z myśli opowiadanie Wregi.

W jedno parne południe, kiedy odpoczywał w cieniu topoli, nadszedł Piotr. Zaczęli rozmawiać najpierw o urodzajach i pogodzie, a później Jasiek rzekł z nienacka:

— Słyszałem, Piotrze, że córkę cudną chowacie przed ludzkimi oczyma i źle robicie. Ot i mnie już czas poszukać żony i do was też zajść chciałem, ale nie śmiem. Nie myślcie, że tylko z ciekawości. Mówię szczerze. Nie szukam bogatej żony, tylko dobrej i uczciwej.

— I pięknej! — dodał Piotr.

Jasiek uśmiechnął się.

— I wziąłbyś, ty, syn kmieci, córkę nędzarza?

— Wziąłbym!

Taka stanowczość biła z tych słów, że Piotr nie wątpił.

— Bóg zapłać Janku! Mówię ci szczerze, że córka moja nie może być żoną dla ciebie. Jeśli jednak chcesz, możesz przyjść wieczorem.

W oczach starca zabłysły łzy i odszedł szybko.

W oczach Jaśka widniała radość.

Nadszedł wieczór. Z biciem serca wszedł Jasiek przez niezamkniętą furtę parkanu. Psa na podwórzu nie było. Widocznie oczekiwano go.

Gdy wszedł do chaty, na stole stała już przygotowana wieczerza. Za stołem, który krył pół postaci, siedziała przepiękna dziewczyna. Stary Piotr siedział z boku. Jedno miejsce czekało na niego. I uczuł Jasiek jakąś dziwną niepewność i wyczuł w chacie czający się smutek.

Na zaproszenie starca usiadł zarumieniony i wzrok spuścił ku ziemi.

Nie mógł patrzeć w te cudne oczy, okolone długimi rzęsami, z których wyzierała dobroć i bezgraniczny smutek. Nie mógł patrzeć w twarz różaną i delikatną, gdyż zdawało mu się, że wzrokiem swym skala tę czystą biel i spędzi uśmiech tkliwy, który osiadł na wąskich wargach.

Piotr wyrwał go z zakłopotania.

— Oto dobry i szczery Jasiek, Broniu. Możecie zostać przyjaciółmi.

Potoczyła się rozmowa. Teraz mógł Jasiek swobodnie przyglądnąć się córce Piotra. Pełen zachwytu potwierdził w duchu słowa Stacha. Słowami nie można było określić jej piękności.

A gdy się żegnał, rzekł do Piotra.

— Dziękuję wam ojcze. Teraz wiem, że Bronia nie może zostać mą żoną: Tak piękny kwiat zmarniałby w twardym życiu, które jest mym udziałem. Nie śmiem nawet marzyć o tym.

— Nie to, synu, oj nie to! Z chęcią dałbym ci ten kwiat i może nikomu więcej, tylko tobie, dlatego żeś szczery, a ludzie szczerzy są dobrymi na świecie, ale patrz!

To mówiąc odsunął szybko stół, za którym siedziało dziewczę.

Z ust Jaśka wydarł się okrzyk zgrozy.

Bronia nie miała nóg.

— Widzisz Jaśku, — rzekł po chwili, Piotr, — że to nie dla ciebie żona. Prawdę mówiłem ci. To tajemnica, dla której nie przyjmowałem nikogo u siebie, nie dlatego żebym się wstydził kalectwa własnej córki, ale dlatego, by jej i ludziom nie sprawiać przykrości i rozczarowania. Przelałem na nią całą swą miłość ojcowską, dlatego, że nie patrząc na niebezpieczeństwo życia, niosła ratunek człowiekowi, którego ja sam, przyznać muszę, nienawidziłem. Przez jej poświęcenie nawróciła się jej matka na drogę prawą i spokój wrócił w dom mój. Żegnaj Jaśku i zachowaj dobre wspomnienie o nas.

Młodzieniec pochwycił dłoń starca i nim Piotr spostrzegł się, usta Jaśka przylgnęły do czarnej, spracowanej dłoni, wyciskając na niej serdeczny pocałunek.

Piękna twarz Broni przybladła, a w oczach zabłysły łzy. Długo jeszcze patrzyła w stronę drzwi, za którymi znikł dorodny Jasiek.

*

I dowiedziała się wieś o Piotrowej tajemnicy i zatargał ból sercem starych i młodzi. Dziewczęta krasne niosły podarki dla Broni i choć Piotr wzbraniał się, nie chcąc jednak zrażać tych, którzy okazali dobre serce, przyjmował wszystko, co nieśli ze sobą.

— Ludzie są dobrzy Broniu i choć czasem złość wtargnie do ich serc, nie długo w nich gości.

— Tak, tak, tatulu, ludzie są dobrzy i świat jest śliczny, a dziś był tak śliczny, że doprawdy nie mogę się nacieszyć.

— Winnaś ten dzień Jaśkowi.

— Wiem i postaram mu się odwdzięczyć szczerą przyjaźnią za jego dobroć.

Zostali przyjaciółmi. Piotr służył Jaśkowi radą i doświadczeniem, a córka dopomogła mu do wyboru żony, za co całe życie był jej wdzięczny i po śmierci ojca chciał ją nawet wziąć do siebie czemu się sprzeciwiła.

Po pogrzebie starego Piotra, zabrał ją jej brat, ksiądz, ze sobą, a chata, która długo chowała tajemnicę nieszczęśliwej, została oddana w opiekę Jaśkowi.

I kiedy tylko spojrzał na zczerniałą strzechę słomianą, łzy cisnęły się do jego ócz na wspomnienie tej, co nieszczęście swoje znosiła w spokoju ducha, życząc innym szczęścia, które choć obce, było jej radością.

Bo nie ma najbardziej nieszczęśliwego, aby w życiu swym nie zaznał słońca radości, które jak figlarz ukazuje się i znika ze sceny życia!

ZEMSTA Z ZAZDROŚCI

Rys. i tekst: Pawl.



Miłość w parku — to rzecz słodka,
Lecz dwóch kochać — serce wzbrania,
Raz do Knotka, raz do Motka
Puszcza „oczko" panna Frania.

Oprócz spojrzeń — chciała Frania
Czegoś więcej od... miłości —
Więc parasol ją zasłania...
Knotka bierze złość — wciórności.

Skoczył Knotek i tablicę.
Wbił przy ławce zakochanych,
Potem krzyknął... na policję —
By mieć radość z ukaranych.

I ambaras był gotowy —
Bo na zakochaną parę,
Trafił pan posterunkowy
I zażądał sutą karę.



PODCZAS ZWIEDZANIA MUZEUM

Pruderyjny papa: „Niech pan powie mojej żonie i córce, że mogą już wejść". (Marc Aurelio, Włochy)

— Potrzebuję 30 złotych i nie mam pojęcia skąd je wydostać.

— Doskonale. A ja już myślałem, że chcesz mnie naciągnąć.

*

— Ja znam go tak dobrze, jak swoją własną kieszeń.

— Tak, tak, to musi być bardzo próżny człowiek.

*

— Jakie było pierwsze stworzenie na świecie? — pyta nauczyciel.

— Bocian, panie profesorze — odpowiada mały Jasio.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



— Słychać lekkie bicie, ale gdzieś bardzo, bardzo daleko... hen!... hen!... daleko, daleko... (Die Koralle)

Nauczycielka nie może sobie dać rady z małym Jonny. Pisze więc do jego matki: Pani syn jest najnieznośniejszym chłopcem w klasie i strasznym gałganem. Co mam z nim robić?

Na drugi dzień otrzymuje odpowiedź:

— Niech się pani sama martwi, ja mam dosyć zmartwienia z jego ojcem.

*

Panna Elżbieta zirytowana zwraca się do sąsiada:

— Pański pies rozerwał mi suknię.

— Z pewnością go pani drażniła.

— Nic podobnego! Siedziałam przy fortepianie i śpiewałam.

— No, widzi pani.

*

— Tu... niech pan popatrzy na moje bicepsy. Tą ręką mogę zatrzymać pędzący pociąg.

— A ja panu mówię, że pan jest ordynarnym kłamcą.

— To nie, — ale maszynistą.

*

Do znanego ze skąpstwa rentiera przychodzą dwie panie kwestujące. Rentier wyjmuje książeczkę czekową i po wypisaniu sumy 50 zł podaje czek kwestarkom.

— Ale pan zapomniał podpisać czek — zwraca uwagę jedna z pań.

— Nie szkodzi, chcę być bezimiennym ofiarodawcą.

*

Nauczyciel do uczniów: — Proszę nie zapisywać wszystkiego co mówię, przecież to nie ma sensu.

*

— Nie wiem jak to się stało — mówi komisarz policji — że taka słaba kobieta jak pani przytrzymała tego silnego złodzieja, aż do czasu przyjścia policji.

— To było tak, panie komisarzu. Było całkiem ciemno i ja myślałam, że to mój mąż tak późno wraca z knajpy i uderzyłam go miotłą po głowie.

*

— Zawsze, gdy się pani uśmiecha, mam ochotę poprosić panią o złożenie mi wizyty.

— Ależ pan jest prawdziwym Don Juanem...

— Nie, — dentystą.

*

— Nie pij tyle! Wszak alkohol jest powoli działającą trucizną.

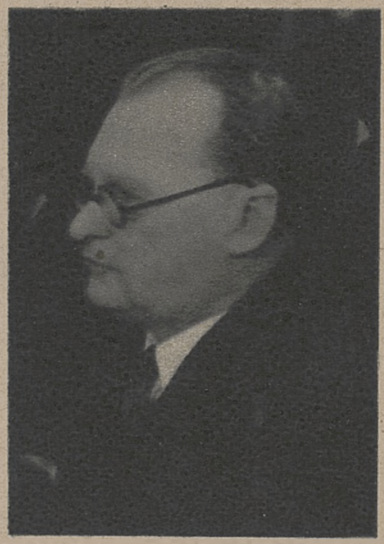
— Wiem o tym. Ja właśnie nie chcę prędko umrzeć.

*

— Czy oskarżony ma co na swoją obronę?

— Miałem spluwę, panie sędzio, ale mi cholery policjanci odebrali.

SZACHY



Zawiadamiamy naszych czytelników-szachistów, iż z dniem dzisiejszym kierownictwo działu szachowego obejmuje mistrz szachowy świata i Europy dr Aleksander Aljechin, jako stały współpracownik „Ilustrowanego Kuriera Polskiego". W związku z tym podajemy krótki przebieg jego kariery szachowej.

Aleksander Aljechin urodził się w Moskwie dnia 19 paźdz. 1892 r., jako syn gubernatora prowincji rosyjskiej.

Gry w szachy nauczył się będąc dzieckiem. W 16 roku życia zdobył wszechrosyjskie mistrzostwo amatorskie w turnieju. W 21 roku życia należał już do elity mistrzów świata.

W wojnie światowej pełnił służbę jako oficer rosyjski w kampanii galicyjskiej.

Podczas rewolucji rosyjskiej został skazanym na śmierć, lecz udało mu się uzyskać odroczenie wykonania wyroku i uciec.

W roku 1921 osiedlił się na stałe w Paryżu, przyjmując obywatelstwo francuskie. W tym samym roku rozpoczął znów swoją triumfalną karierę. Pomimo, że uczestniczył w licznych turniejach, znalazł jednak na tyle wolnego czasu, żeby uzyskać stopień doktora praw.

W r. 1927 doszedł do spotkania w pojedynku o mistrzostwo świata z Capablancą, wydzierając mu berło po wyczerpujących zmaganiach w przekonywujący sposób. W r. 1930 odniósł największe zwycięstwo w historii świata w turnieju w San Remo. Wśród 15 najlepszych mistrzów świata uzyskał wspaniały wynik: 13 partyj wygranych, przy dwu partiach remis, bez przegranej, odsadzając Niemcowicza o 3½ pkt.

Po szeregu licznych sukcesów nadeszła chwila niespodziewanej porażki w pojedynku o mistrzostwo świata z Drem Euwem w r. 1935. Główną przyczyną porażki był zły stan zdrowia i psychicznego nastawienia Aljechina wskutek nieregularnego trybu życia.

Przed rewanżowym spotkaniem z Euwem w r. 1937 spędził Aljechin kilka miesięcy na przygotowaniach, uwieńczonych jak wiadomo nienotowanym dotąd w historii szachów faktem odzyskania mistrzostwa świata.

Aljechin jest niezwykłym fenomenem. Partie jego — to arcydzieła techniki, tchnące żywiołowym temperamentem. Jego geniusz szachowy jest tak wszechstronnym, że sądzimy, że nie posuniemy się do przesady, jeśli twierdzimy, że wielkością nie dorównał mu dotąd żaden z jego poprzedników. Tyle pomysłowości, przedsiębiorczości i twórczego bogactwa idei nie wykazał dotychczas żaden z poprzednich mistrzów świata. Jego umysł objął tak dalekie horyzonty teorii szachów, że nie prędko się znajdzie mistrz, który by zbliżył się do niego głębokością idei, sztuką ulepszania wariantów i wynajdywania nowych dróg. Zasługi Aljechina na polu wzbogacenia teorii szachów są ogromne. Jemu zawdzięczamy powstanie otwarcia obrony Aljechina, ataku Chatard-Aljechinowskiego w obronie francuskiej, oraz wielu innych ulepszeń, czy innowacji w gambicie hetmana itp.

W grze na ślepo nie ma Aljechin sobie równego, pobił on rekordy Retiego, czy Kosticza grając kilkanaście lat temu w jednym z lokali czołowego dziennika paryskiego 34 partie równocześnie na ślepo (bez widoku szachownicy) z świetnym wynikiem.

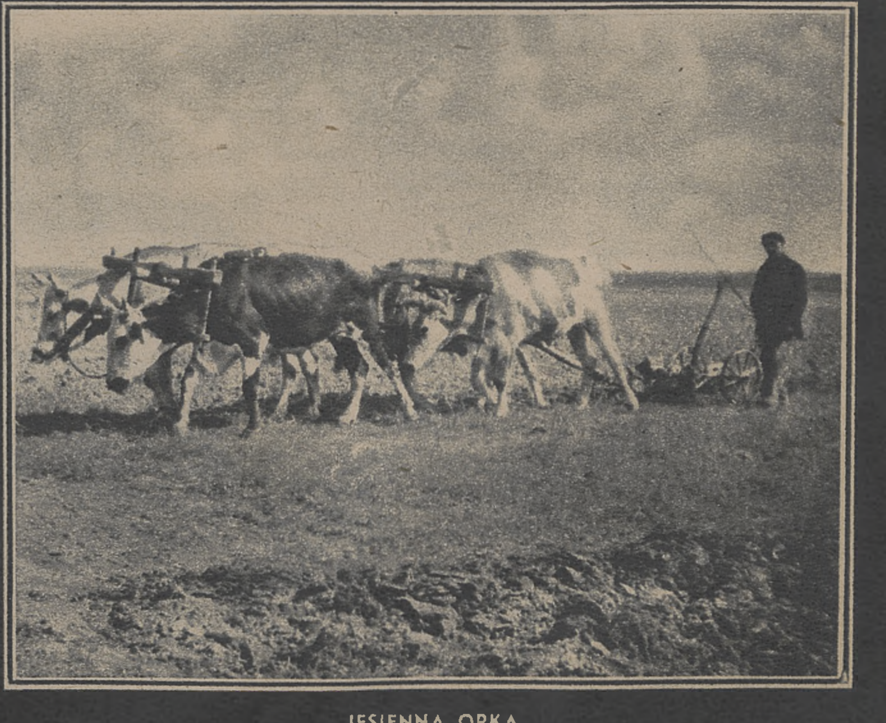
Obecnie Aljechin osiadł w Krakowie i pracuje nad dziełem, traktującym o historii szachów od 1840 r.

UWAGA! FOTOAMATORZY!



NA PASTWISKU

Doskonały, typowy obrazek rodzajowy o pełnej i harmonijnej gamie walorów wraz z przejrzystością cieni. Autor powyższego zdjęcia p. Stefan Malarski ze Skierniewic, należy do plejady bardzo inteligentnych fotoamatorów, a zdjęcia jego wyróżniają się doskonałym doborem tematu i subtelnością opracowania. Aparat Weltix, przysłona 8, czas naświetlenia 1/50 sekundy.



JESIENNA ORKA

Przykładnie dobre i oryginalne zdjęcie o spokojnym tle. Poprawna kompozycja malarska, syntetyzująca pojęcie orki w plamach pierwszoplanowych. Wykonał p. Fr. Grabowski z Milanowa. Aparat Bessa Voigtländer, przysłona 5,6, czas naświetlenia 1/50 sekundy.

Klasyka i akrobatyka

Fot. Borek



Stanisława Selmówna w „Walcu" Straussa.

Do ważnych wydarzeń kulturalnego Krakowa, w ostatnim tygodniu, należy niewątpliwie występ baletu, zorganizowanego przez baletmistrza Jana Fabiana — na scenie Starego Teatru. Dobór tańców, które wypełniły program oraz znakomite wykonanie, powierzone czterem różnym kobiecym indywidualnościom tanecznym, potrafiły w pełni zadowolić nawet najwybredniejszych estetów.

Stanisława Selmówna — młoda tancerka z Warszawy — o której możemy już dziś powiedzieć, że opanowała najzawilsze problemy choreografii, i kto miał okazję oglądania jej realizacyj w roku ubiegłym, ten najwyraźniej zauważył wprost szalony postęp u tej wysoce utalentowanej tancerki. Jej technika zdumiewała nas swą czystością. „Taniec węgierski" Bruhnego — w jej realizacji, to: — potęga ruchu — bohatestwo mięśni — poezja porywu; zaś w walcu straussowskim — jak obłok lekka i zwiewna w atmosferze dźwięków i rytmów. Nie przesądzimy, jeżeli jej popularny epitet: — „Stasia, to iście boska Terpsychora" — przyznamy jako w pełni zasłużony tytuł.



Barbara Kaczmarewicz w „Walcu klasycznym" Szopena.

Barbara Kaczmarewicz i Malina Michalska — obie z Warszawy — cieszyły się nadal pełnym i szczerym uznaniem, które od dawna zdobią laury sukcesów zdobytych na wielkich scenach. Jeśli pokusimy się o porównawcze zestawienie ich, w tanecznej realizacji i doborze tematów — to stwierdzimy, że pierwsza; — „tancerka klasyczna par excellence" — przy dziewictwie linii „piękna klasycznego", druga — „tancerka pur sang", w oparciu o jej wielkie możliwości akrobatyczne. Michalska wykonała kompozycje bardziej skomplikowane, drgające namiętnością z potęgą symetrii, czym dodała widowisku świetności.



Malina Michalska w „Serenadzie" Driga.

Powyższej trójce na odmiennej platformie tańca plastycznego dotrzymywała dzielnie kroku, pełna wdzięku i urody tancerka krakowska **Zofia Więcławówna.**

Ta młoda, wszechstronnie uzdolniona i wysoce kulturalna artystka, wystąpiła w kilku własnych kompozycjach, dostosowanych do jej indywidualnego temperamentu i wykonanych z niesłychanie subtelną inscenizacją, obfitością gestów i z nadzwyczajnymi kontorsjami oblicza



Zofia Więcławówna w plastycznym tańcu p. t. „Artystka podwórzowa".

Jej plastyczny taniec p. t.: „Tancerka podwórzowa" — najdobitniej świadczy o wielkim zmyśle alegorii, stylizacji i transpozycji uczuć u tak młodziutkiej tancerki.

Wspomnieć należy również o udziale baletmistrza **Jana Fabiana,** którego własna kompozycja p. t.: „Zmysły i Praca" w wykonaniu Więcławówny i Fabiana zasługuje na szczególne wyróżnienie.

Paliwoda-Matiolański